



Prasowe
Wydawnictwo
Dokumentacyjne
RSW „P-K-R”

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 28-59-59

Zołnierz Wolności

A

Warszawa, ul. Grzybowska 77

wydanie

2 8 8

6 -12- 82

Nr 7 dn

665

W kregu teatru

Na marginesie przedstawienia „Terrorystów”

POPRZEDZAŁ ten spektakl szczególny szum — że rzecz jest wyjątkowo ostra i świetnie zrealizowana. Wreszcie nadszedł dzień premiery. Tak — przy pełnej widowni, wśród podpierających ściany młodych ludzi, błysku fleszy — Teatr Polski zaprezentował *Terrorystów* Ireneusza Iredyńskiego.

Sztuka opowiada o mechanizmach władzy. Iredyński nie ukrywa fascynacji tą tematyką. Zresztą do motywu jednostki zależnej wobec układów politycznych pisarz wracał wielokrotnie. Tym razem akcja rozgrywa się w Ameryce Południowej. Lecz daleko istotniejszy od scenarii jest czas. Zbliża się bowiem zamach stanu. Ofiara musi paść zniechwalony przez Roblesa. Wszyscy bohaterowie, bał słyhać, że i zdecydowana większość narodu, są zgodni co do moralnej oceny jego rządów. Stwierdziwszy zatem nieuchronny koniec despotycznej władzy Roblesa, Iredyński koncentruje naszą uwagę wokół osoby przyszłego przywódcy.

A oto on. Tajemniczy Numer Jeden. Prężny strateg, jasno formułujący sady, ma chwile autoironii, lecz... brakuje mu podstawowych zasad etycznych. Już wiemy, że jego zwycięstwo będzie początkiem politycznej maskarady, fiaskiem nadziei tych, którzy mieli odwagę przeciwstawić się roblesowskiemu koszmarowi.

W rozmowie z Krystyną Nastulaną autor stwierdził, że *Terrorysty* są dramatem „o przemocy, która tkwi w człowieku, zaszczepiona” — a nie przyczyn najbardziej humanitarnych, o przemocy, która jest bestią wyzerającą mózg i serce swojego pana. Obawiam się, iż przyjmując, że ten rodzaj fatalizmu ma wstrząsnąć naszymi sumieniami, trzeba jednocześnie założyć pokorną aprobatę pisarskich diagnoz. Sztuka przybiera coraz wyraźniej kształt baśni o straszliwej czarownicy — władzy i jej bezradnych ofiarach. Ze są wśród nich szlachetni fanteści i zwykle szuje — to już temat na inną opowieść.

A szkoda. Szanuję talent dramatopisarski twórcy. Jaselek — *moderne* i nie bardzo rozumiem, skąd wywodzi się tak powierzchowna, rozdrabniana w sentencjach dialogu koncepcja sztuki. Nawet początkowo ciekawie zarysowanego konfliktu między politycznym graczem, czyli Numerem Jeden, a gorącym zwolennikiem rewolucji, Numerem Siedem, nie tłumacza żadne głębsze racje. Bo trud-

no uznać miłość, o jakiej mówi Numer Siedem, za poważną alternatywę negatywnych (dodajmy — innych tu nie ma) uwarunkowań władzy. W ten liryczny portret nie wierzą przecież sami bohaterowie i nawet bardzo ufny widz musi mieć wątpliwości.

Nie chciałabym powtarzać truizmów o prawie autora do podejmowania różnorodnych analiz jednego wątku. Iredyński jest pisarzem wyjątkowo aktywnym i może właśnie *Terrorysty* są świadectwem zbyt szkicowo potraktowanej twórczości. Mam natomiast pretensje pod adresem teatru, który jeszcze wyeksponował niedostatki sztuki, usiłując skonstruować monumentalny spektakl. Odniosłam wrażenie, jakby reżyser, Jan Bratkowski, za wszelką cenę wyciszał i tak ledwie naszkicowany psychologiczny kontur postaci. W tym kierunku idą, niestety, starania większości zespołu.

Andrzej Szczepkowski (Minister) zadał sobie dużo trudu, aby połączyć dialog na wiele dowcipów. Szkoda, że wprowadziwszy styl konferansjerki usunął w cień realia rozgrywanych zdarzeń. Natomiast Halina Mikołajska (Maria Schwartz) niezwykle drobiazgowo opracowała wizerunek steranej bojem męczennicy wielkiej idei. Ale jakby przeoczyła istotne kwestie kreowanej postaci, która powinna służyć pełniejszej charakterystyce Numeru Jeden. Zaś Marek Barbasiewicz (Numer Siedem), wdzięcznie nosząc mundur rewolucjonisty, nie pozwala nam uwierzyć w sen o miłości, tym samym a priori dyskredytując ważne ogniwo akcji.

Wreszcie Numer Jeden. Janusz Zakrzewski ma najtrudniejsze zadanie aktorskie. I trzeba powiedzieć, że chyba tylko on stara się iść tropem dialogu, przynajmniej próbując prowadzenia rozmowy o różnych implikacjach polityki. Ze brzmi to często zbyt sztucznie, należy obwiniać sam tekst oraz w dużym stopniu reżysera. Obraz zaciemnia dodatkowo pompatyczna scenografia Krzysztofa Pabkiewicza. Coś niby sugestia, że spór dotyczy wielkich idei. A tu na przekór ze sceny Teatru Polskiego słyhać przede wszystkim szmer towarzyskich konwersacji.

No cóż. Iredyński przedstawił dramat nie wykończony. Dlaczego jednak nadano mu taką oprawę? Jak mówi poeta — uśmiechnąć można się i smutno.

JADWIGA JAKUBOWSKA